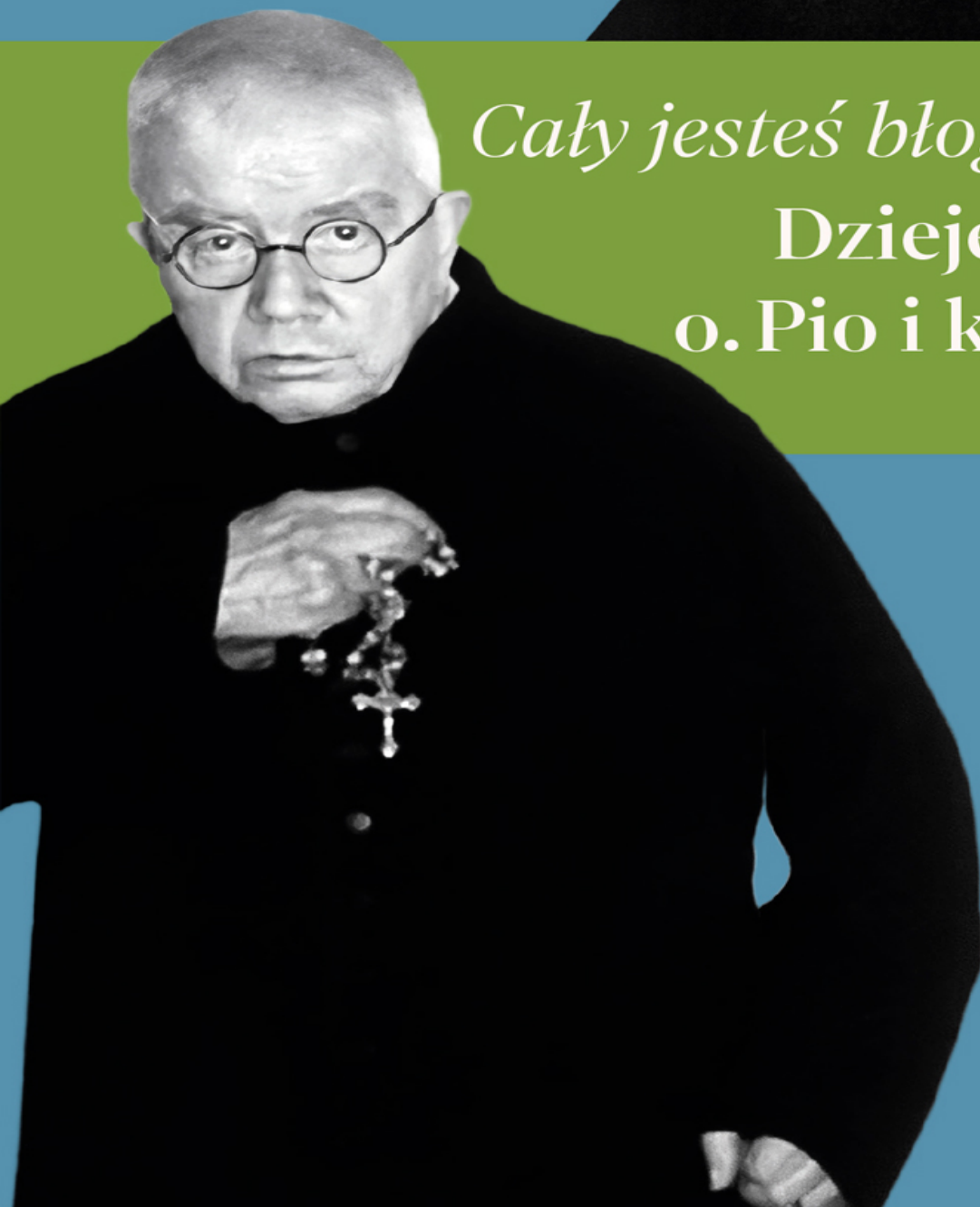
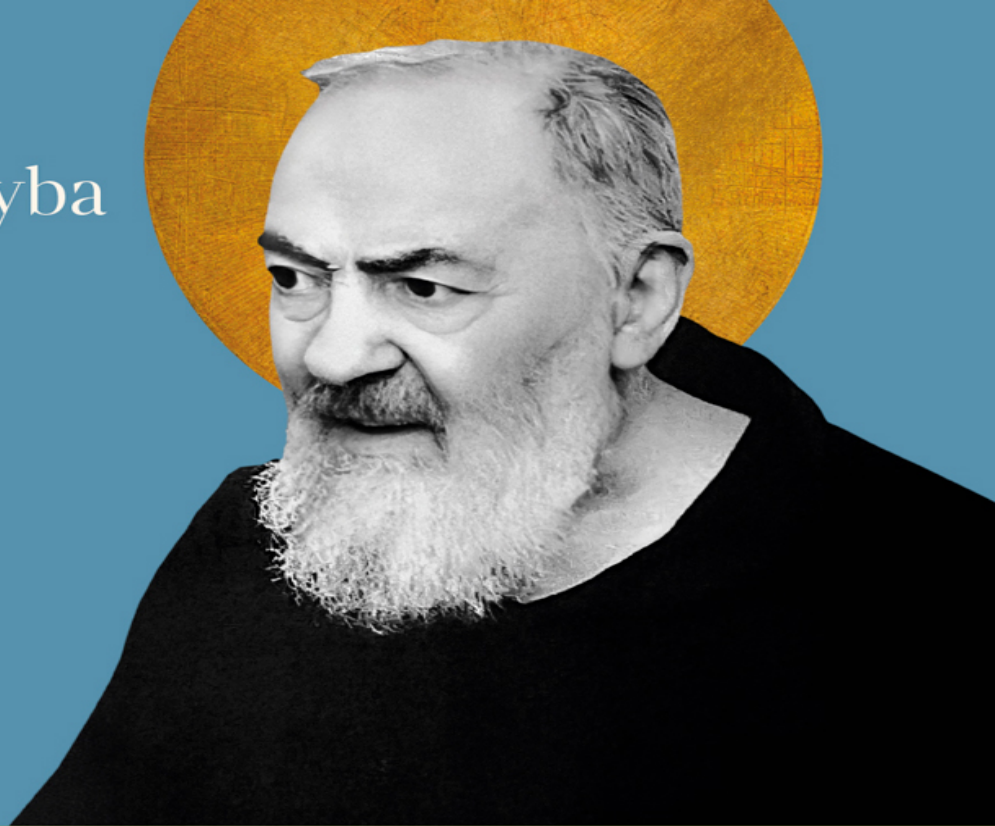


Wojciech Kudyba



Cały jesteś błogosławiony.

Dzieje przyjaźni
o. Pio i ks. Dolindo



Wojciech Kudyba

Cały jesteś błogosławiony.

**Dzieje przyjaźni
o. Pio i ks. Dolindo**

WYDAWNICTWO 

Redakcja i korekta: Magdalena Dobosz

Skład wersji do druku: Edycja

Projekt okładki: Anna Dąbrowska-Filip

© Copyright by Wydawnictwo M, Kraków 2024

© Copyright by Wojciech Kudyba

ISBN 978-83-8043-908-5

Wydawnictwo M

31-159 Kraków, al. J. Słowackiego 1/6

tel. 12-259-00-03

e-mail: biuro@wydawnictwom.pl

www.wydawnictwom.pl

Księgarnia wysyłkowa: tel. 12-259-00-03; 721-521-521

e-mail: bok@klubpdp.pl

Zamówienia hurtowe: tel. 601-954-951

e-mail: handel@wydawnictwom.pl

Przygotowanie wersji elektronicznej

Epubeum

*Księdzu Andrzejowi Liszce,
koordynatorowi Grup Modlitwy Ojca Pio diecezji tarnowskiej*

Od autora

Słońce grzało jeszcze mocno. Nad krzakami późnych malin latały pszczoły. Owoce były wielkie i słodkie. Zbieraliśmy je na niedzielne ciasto, bo to było sobotnie, wrześnieowe popołudnie i myślami było się już przy niedzieli. Właściwie już kończyliśmy, pamiętam, że popatrzyłem na zegarek, bo zaraz mieliśmy pierwszy raz jechać na spotkanie Grupy Modlitwy Ojca Pio w Nowym Sączu. Ktoś nam opowiadał o księdzu Andrzeju Liszce, charyzmatycznym kapłanie, który ją prowadzi, a my właśnie przeprowadziliśmy się do tego miasta i szukaliśmy jakiegoś sposobu, by zakorzenić się w lokalnym Kościele, bo nigdy wcześniej nie byliśmy niedzielnymi katolikami. Mieliśmy więc zaraz jechać; włożyłem do ust ostatnią malinę, zdziwiłem się, że ma w środku coś twardego, i poczułem ukłucie żądła. Pamiętam, że gdy teść i żona dowiedzieli mnie do lekarza, miałem już tak spuchnięty język, że nie mogłem mówić. Dostałem zastrzyk, pytano mnie, czy mogę swobodnie oddychać. Pokazałem na migi, że tak. Dopiero dużo później uświadomiłem

sobie, że tkanka miękka w gardle puchnie bardzo szybko i groziło mi uduszenie. „To nie jest zwykła grupa modlitewna, skoro diabeł ima się aż takich sposobów, żebyście do niej nie dołączyli” – powiedziała teściowa, gdy wieczorem opuchlizna zaczynała mi już powoli schodzić. Kiwnąłem głową na znak, że się z nią zgadzam. Miała rację – zresztą nie tylko tego wieczoru. To rzeczywiście nie była zwykła grupa modlitwy. Piszę o tym, bo bez niej ta książka nigdy by nie powstała.

Nie dotarliśmy więc na nabożeństwo we wrześniu 2000, ale kiedy pojawiliśmy się na nim w październiku tego samego roku, niezwykła atmosfera głębokiej modlitwy tak nas porwała, że zostaliśmy i jesteśmy w tej grupie aż do dziś. Odpowiadała ona zresztą nie tylko nam. Pierwszy raz przyszliśmy w ostatniej chwili i z trudem weszliśmy do bazyliki, która była wypełniona po brzegi. Na parafialnym parkingu stały autokary, bo ludzie przyjeżdżali z całej okolicy. Na pozór nie działo się nic nadzwyczajnego. Odmawiało się Różaniec, światła były przygaszone, na ramiona padał cień. Potem była Msza Święta, adoracja Najświętszego Sakramentu, błogosławieństwo lourdzkie. A jednak wszystko to było właśnie nadzwyczajne: żarliwe, głębokie, przejmujące. Z czasem zrozumieliśmy, że istotą działania grupy jest właśnie głęboka modlitwa – w Kościele, z Kościołem i za Kościół. Z tej modlitwy wyrastały różne rodzaje działalności charytatywnej i formacyjnej, które zmieniały się i zmieniały nas samych w ciągu niemal ćwierćwiecza. Grupa była duża, gromadziła ponad tysiąc osób, więc w pewnym sensie wszystko było duże: charytatywne festyny, pielgrzymki, dni skupienia. Dopiero po wielu latach osoby

przyjeżdżające autokarami stawały się członkami lokalnych grup modlitewnych, które zaczęły wyrastać w tarnowskiej diecezji niczym grzyby po deszczu.

Trudno więc dziś sobie wyobrazić, kim bylibyśmy, gdyby Grupa Modlitwy Ojca Pio w Nowym Sączu nie przygarnęła nas i nie pokazała, jak możemy się zaangażować. Jako adept polonistyki i pisarz do wielu prac kompletnie się nie nadawałem, na szczęście jednak to, co umiałem, również mogło się przydać: żona wpadła na pomysł, żebyśmy wydawali dla grupy gazetkę informacyjno-formacyjną i wraz z przyjaciółmi robimy to do tej pory. Można powiedzieć, że to dzięki temu znaleźliśmy swoje miejsce wewnątrz Kościoła i nigdy nie czuliśmy, że jesteśmy na jego obrzeżach lub zgoła na zewnątrz. Stopniowo zresztą pojmowaliśmy, co to tak naprawdę oznacza: być wewnątrz Kościoła. Uczyliśmy się odpowiedzialności za niego, dokładając sił i starań, by mu nie przynieść wstydu. Ale też odkrywaliśmy, ile znaczy to, że mamy wsparcie wielu modlących się osób i możemy liczyć na wsparcie Bożą łaską w chwilach życiowo najtrudniejszych. Stopniowo poznawaliśmy, jak bardzo ważne jest funkcjonowanie na co dzień wśród ludzi, których życie i działania są nieustannym źródłem umocnienia na drodze wiary.

Bo przecież takich ludzi naprawdę spotkaliśmy i związaliśmy się z nimi na dobre i na złe. Byliśmy przez te wszystkie lata blisko tych, którzy doznali łaski niewytłumaczalnego uzdrowienia, i tych, którzy doświadczyli cudu pogodzenia się z chorobą i zmarli w opinii świętości. Byliśmy i jesteśmy blisko tych, którzy promieniują swoją wiarą, swoim zaangażowaniem w służbę Bogu i ludziom. Uczymy się od nich, korzystamy z ich pomocy i sami

pomagamy, pomimo naszych słabości. Wierzymy, że to właśnie łaski, obficie rozlewane przez Boga w naszej grupie, pozwoliły nam przetrwać najgorsze życiowe zawirowania i przejść suchą stopą przez niejedno bagno. Że to dzięki nim nasze dzieci szczęśliwie przeszły przez okres nastoletnich błędów, nie straciły wiary i założyły dobre rodziny. Ile zresztą tych mniejszych i większych łask było w ciągu tych dwudziestu kilku lat! Nie da się ich wszystkich ani ogarnąć pamięcią, ani wyliczyć. Ileż to razy prosiliśmy o dar uzdrowienia duchowego i cielesnego dla któregoś z naszych dzieci, wnuków, krewnych, przyjaciół, znajomych lub nieznajomych! Ile razy ze łzami w oczach dziękowaliśmy za łaskę, której skuteczne działanie mogliśmy oglądać na własne oczy!

Tak, to była długa i piękna droga, która jeszcze się nie skończyła. Można ją nazwać wielką duchową przygodą, przygodą wewnętrznego rozwoju i budowania osobistej relacji z patronem grupy, bo i to wymagało czasu. Na początku nie wiedzieliśmy przecież o ojcu Pio zbyt wiele. Poznawaliśmy go powoli. To trwało całe lata. Przełomem była na pewno jego kanonizacja. Miałem wielkie szczęście być wtedy na placu Świętego Piotra, widzieć tłumy ludzi, dla których ojciec Pio stał się jedną z najważniejszych osób w życiu. Potem nastąpił prawdziwy wysyp publikacji o nim. Moja żona kupowała je sukcesywnie – nie tylko dla potrzeb naszego skromnego dwumiesięcznika „Zwyciężajmy miłością”. Pamiętam też, że nasz przyjaciel Janusz Jasielc, współpracujący z pismem jako tłumacz, bardzo szybko dotarł do relacji mamy Matteo, którego uzdrowienie stanowiło cud decydujący o kanonizacji. Nie wykluczam, że nasza skromna gazetka jako pierwsza opublikowała w języku polskim tę relację... Nieważne...

O wiele ważniejsze jest to, że ojciec Pio stawał się nam coraz bliższy, choć otwarcie przyznam, że niełatwo było mi się z nim zaprzyjaźnić. Zazdrościłem tym członkom grupy (w tym własnej żonie), którzy szybko uznali go niemal za członka rodziny, czuli cudowne zapachy itp. Ja sam długo się go bałem. Wydawało mi się, że gdybym poszedł do niego do spowiedzi, na pewno wyrzuciłby mnie z konfesjonau. Moja droga do zażyłości z nim miała kilka etapów. Tuż po kanonizacji po prostu czytałem o nim. Potem Janusz rozpoczął współpracę z ojcami kapucynami z San Giovanni Rotondo i prócz tłumaczeń ich listów do polskich pielgrzymów wykonywał też większe zlecenia, w tym tłumaczenia obszerniejszych publikacji. Dawał mi je do redakcji i korekty, często nie były to jednak zwykłe książki. Niejedna z nich wywołała u mnie wewnętrzny wstrząs. Pamiętam, że po pracy nad *Świadectwami* ojca Marcellino IasenzaNiro poszedłem do spowiedzi generalnej. A kilka lat później, gdy wraz z Januszem i Anią Jasielcami byliśmy w San Giovanni Rotondo, nagle poczułem, że niektóre z moich niedobrych skłonności znikają, a w ich miejsce wlewa się wielka serdeczność. To był prawdziwy przełom. Dopiero od 2013 roku ojciec Pio jest dla mnie kimś naprawdę bliskim. Bez tej jego bliskości i wskazówek nie dotarłbym do księdza Dolindo. Zachowały się świadectwa osób, które na własne uszy słyszały, jak ojciec Pio odsyłał pielgrzymów z Neapolu do księdza Dolindo, którego nazywał „świętym apostołem”. Choć nie mieszkam w Neapolu (przynajmniej na razie), mnie też odesłał. Tak w każdym razie myślę o tym wszystkim, co się wydarzyło i co ludzie niewierzący nazywają przypadkiem.

Przypadkiem Janusz Jasielc i jego żona (nasi najbliżsi przyjaciele) znaleźli się bowiem w Neapolu i trafili tam do kościoła, w którym był grób ojca Dolindo. Przypadkiem spotkali tam jego bratanicę, Grazię Ruotolo, która dała Januszowi dwie książki swego stryja, prosząc o ich przetłumaczenie na język polski – *Myśli na każdy dzień* oraz *Komentarz do Ewangelii*. Po powrocie Janusz, całkiem przypadkiem, zachęcił mnie do współpracy nad tłumaczeniem pierwszej z nich, bo druga ma ponad dziewięćset stron i czeka na naszą emeryturę. Nigdy nie zapomnę tego momentu: siadam do komputera, czytam tekst *Myśli na każdy dzień* i nagle mam wrażenie, że czegoś tak mądrego i pięknego nie czytałem od lat. Pochłaniam zdanie po zdaniu, to wrażenie narasta, nie mogę wręcz oderwać się od czytania, jakbym na takie właśnie słowa czekał, jakby były napisane specjalnie dla mnie. Mijają dni, redaguję całość książki i coraz bardziej mam wrażenie, jakby z niektórych fragmentów spływało na mnie jakieś światło, pokazując mi moje błędy i zachęcając do zmiany myślenia i postępowania. Potem czytam po kolei wszystkie książki o księdzu Dolindo, jakie mamy w domu. Z dnia na dzień słynne krótkie westchnienie „Jezu, Ty się tym zajmij” pojawia się w moim życiu, wkracza do mojej codzienności, do wielkich i małych spraw. Stopniowo uczę się postawy zawierzenia, cały czas jej się uczę. Jeśli jest to jakaś szkoła, to z pewnością najbardziej prestiżowa i najważniejsza spośród tych, które kończyłem, lub tych, w których pracowałem. Kiedy całe tłumaczenie było już gotowe, nie mieliśmy pojęcia, jakiemu wydawnictwu je zaproponować, bo są jakieś kłopoty ze spadkobiercami praw autorskich. „Jezu, Ty się tym zajmij!” Bez żadnych rekomendacji i listów polecających wysłałem plik na

chybił trafił do Wydawnictwa M. Okazało się oczywiście, że właśnie ono te prawa zdobyło. Co więcej: było zainteresowane publikacją naszej książeczki, a potem – w pandemii – zaproponowało nam tłumaczenia kolejnych. Odczułem to właśnie tak, jakby ojciec Pio wysłał nas do swego przyjaciela don Dolindo, abyśmy mu trochę pomogli w dotarciu do czytelników...

Czas pandemii wspominam zresztą szczególnie... Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, w jakim pośpiechu żyłem i ile niepotrzebnych rzeczy brałem na siebie. Pamiętam, że w Wielkim Poście zrobiłem sobie małe rekolekcje z don Dolindo na podstawie jego książki *Głęboka przemiana serca w szkole Maryi*. Od tamtej pory cały czas chodzę do tej szkoły, być może powtarzam niektóre klasy, ale nie mam zamiaru jej opuścić i przenieść się do innej. Ksiądz Ruotolo stał się – obok ojca Pio – moim najważniejszym duchowym nauczycielem i mistrzem. Było jasne, że któregoś dnia pojedę do Neapolu; moje sprawy zawodowe potoczyły się tak, że w ciągu ostatnich lat byliśmy tam z żoną wiele razy. Najważniejszy był oczywiście ten pierwszy. Pamiętam, że od razu z dworca poszliśmy do kościoła Matki Bożej z Lourdes i świętego Józefa na wieczorną Mszę. Uklękliśmy w ławce nieopodal grobu don Dolindo. Tuż po przeistoczeniu na tyłach świątyni rozległ się jakiś huk i większość ludzi pobiegła sprawdzić, co się stało. Gdy wrócili, proboszcz parafii ksiądz Pasquale Rea powiedział, że ich reakcja była zupełnie naturalna, ale hasło „Jezu, Ty się tym zajmij” zobowiązuje do czego innego. Do tego, by wytrwać w tym samym miejscu pomimo tego, co nas niepokoi i wzburza. Wskazał przy tym na nas, bo faktycznie, wciąż klęczeliśmy, jakby zatrzymała nas w tych pozycjach jakaś siła. W ten właśnie sposób staliśmy się

częścią parafialnej wspólnoty kościoła księdza Dolindo i słuchaczami wielu bezcennych wspomnień jego duchowych dzieci i wnuków. Któregoś dnia, gdy kolejny raz przechodziliśmy obok sklepu z antykami, oglądając w jego witrynie piękną figurkę ojca Pio, weszliśmy, by zapytać, czy jest na sprzedaż. Nie była. Właścicielką sklepu okazała się jednak Rosaria, która pamiętała ojca Dolindo ze swego dzieciństwa. Ileż ciekawych rzeczy opowiedziała nam o tych obu mistykach!

Tak właśnie rodziła się ta książka. Wstyd się przyznać, ale wcale nie miałem zamiaru jej napisać. Miałem ochotę pracować nad czymś zupełnie innym, znów jednak o wszystkim zadecydowało to, co niewierzący nazywają przypadkiem. Otóż wiosną nasza nowosądecka Grupa Modlitwy Ojca Pio miała swój dzień skupienia. W jego programie znalazł się też panel poświęcony przyjaźni ojca Pio i księdza Dolindo. Byłem jednym z jego prelegentów, jednak nie z naszej winy zaczął się on z opóźnieniem, wszystko trzeba było skracać i w efekcie, choć przygotowywałem się ponad tydzień, zdołałem powiedzieć ledwie kilka zdań. Wracałem do domu, myśląc, że widocznie nie miałem nic ważnego do przekazania, lecz redaktorka wydawnictwa, która prowadziła panel, chciała mi dać drugą szansę. Propozycja książki trochę mnie przestraszyła, bo wydawało mi się, że nie posiadam dostatecznie dużo materiałów, by podołać takiemu zadaniu. Ponieważ byłem akurat w Neapolu, zapytałem o radę w parafii don Dolindo, a ksiądz Pasquale Rea najpierw zapytał mnie o wstępny plan całości, potem dodał odwagi, aż wreszcie obiecał modlitwę i pomoc. Bez jego błogosławieństwa raczej nie odważyłbym się zacząć. I bez pomocy żony, bo gdy już wszedłem z planem do jej pokoju, nagle okazało

się, że wszystkie najważniejsze opracowania na temat obu kapłanów ona już dawno zgromadziła i tylko czekają, żebym wreszcie do nich zajrzał...

Jest zatem wiele osób, dzięki którym ta książka powstawała i którym winien jestem podziękowanie. Dziękuję wspomnianym już księdzu Pasqualemui Rei i mojej żonie Beacie, dziękuję też księdzu prof. Robertowi Skrzypczakowi i Joannie Bątkiewicz-Brożek za to, że oboje cierpliwie znosili moje pytania i wspomagali cennymi radami. Januszowi Jasielcowi dziękuję za fotokopie trudno dostępnego artykułu ojca Gerardo di Flumeriego. Ani Jasielec, Marysi Buszek i redaktorom Wydawnictwa M dziękuję za pomoc korektorską. Specjalne podziękowania kieruję pod adresem mojego Anioła Stróża za to, że gdy zgubiłem jakiś cytat, zawsze pomagał mi go znaleźć w odpowiednim opracowaniu. Przede wszystkim dziękuję jednak Temu, który – nie zważając na moje słabości i ograniczenia – pozwolił mi nie tylko zacząć, ale i skończyć pracę nad tą książką. On wie, ile światła wniosła ona w moje życie, i wie też, ile może go wniesć w życie innych. Wierzę w każdym razie, że się nią zajmie. *Gesù pensaci Tu!* (Jezu, Ty się tym zajmij!)

Wojciech Kudyba

Neapol–Nowy Sącz

maj–wrzesień 2023

Kalendarium. Biografie równoległe

Zanim zaczniemy naszą podróż w głąb życia księdza Dolindo i ojca Pio, warto przyjrzeć się kalendarium ich życia. Chcąc zachować przejrzysty i czytelny układ, zawarto w nim jedynie najważniejsze punkty ich biografii – tak bogatych w gwałtowne zwroty, niesamowite duchowe przygody i nadzwyczajne łaski. Jak każde kalendarium, także to ma służyć jako pomoc dla tych, którzy chcą się zorientować w chronologii. Tym, którzy czuliby się w jakimś momencie lektury zagubieni, polecam szybki powrót do poniższego kalendarium i rzut oka na życiowe przygody wspomnianych dwóch przyjaciół – być może dwóch najbardziej niezwykłych przyjaciół, jakich wydała ludzkość w ubiegłym stuleciu.

Dolindo Ruotolo

6 X 1882

Dolindo Ruotolo rodzi się w przeddzień święta Matki Bożej Różańcowej przy via Carbonari a Forcella 6 w Neapolu jako piąte z jedenaściorga dzieci. Choć ojciec jest nauczycielem i ma stałą pracę, rodzina głoduje i cierpi z powodu jego skrajnego skąpstwa oraz wybuchów gniewu.

17 IV 1896

Silvia Ruotolo, nie mogąc znieść dalszych udręk i tego, że Raffaele znęca się nad dziećmi (zwłaszcza nad małym Dolindo), postanawia wyprowadzić się razem ze swym potomstwem i wystąpić o separację.

8 VI 1896

Razem z bratem Eliem zostaje wychowankiem Szkoły Apostolskiej Księży Misjonarzy „Vergini” w Neapolu, jednak okazuje się, że – być może na skutek traum przeżytych w dzieciństwie – ma ogromne kłopoty z przyswajaniem wiedzy.

15 VI 1896

Wraz z innymi uczniami modli się w kaplicy. Prosi Maryję: „O moja słodka Mamo, jeśli chcesz, abym był kapłanem, daj mi inteligencję, bo sama widzisz, jaki ze mnie kretyn”. Chłopiec nagle zapada w pewnego rodzaju sen, a kiedy się budzi, z dnia na dzień staje się jednym z najzdolniejszych uczniów. Stopniowo ujawnia wiedzę z dyscyplin, z którymi nie miał wcześniej kontaktu, i gra na

organach, chociaż nikt go tego nie uczył. Podejmuje również liczne umartwienia, prosi Jezusa o cierpienie i marzy o męczeństwie.

20 VIII 1896

Składa akt pełnego zawierzenia Bożej woli (jego treść znalazł w jednym z dzieł św. Alfonsa Ligouriego). Przez całe życie będzie gorliwym nauczycielem wiary rozumianej właśnie jako pełne powierzenie Bogu wszystkiego, czym jesteśmy i co posiadamy. Z czasem spopularyzuje słynną formułę „Jezu, Ty się tym zajmij!”, będącą aktem strzelistym takiego zawierzenia.

1899

Zostaje przyjęty do nowicjatu w Instytucie Księża Misjonarzy „Vergini” w Neapolu, a w 1901 roku składa śluby zakonne.

1905

Przyjmuje święcenia kapłańskie i z woli przełożonych zostaje nauczycielem śpiewu gregoriańskiego, matematyki, historii, geografii i języka greckiego w Szkole Apostolskiej Ojców Wincentianów.

1907

Przeniesiony do seminarium w Molfecie, gdzie zostaje kierownikiem duchowym seminarzystów i uczy śpiewu. W tym samym roku Święta Kongregacja Inkwizycji Rzymskiej i Powszechnej wzywa go na przesłuchanie i – choć nie jest w stanie udowodnić mu winy – odbiera mu na ponad miesiąc prawo odprawiania Mszy Świętej.

1908

Święta Kongregacja Inkwizycji przesłuchuje go po raz drugi, po czym – znów bez udowodnienia winy – odbiera mu prawo odprawiania Mszy Świętej, wydaje mu też zakaz spowiadania i przyjmowania Komunii. Zakaz ten zostanie cofnięty po dwóch tygodniach, ale ksiądz Dolindo zostaje wydalony zarówno z seminarium w Molfecie, jak i ze wspólnoty księży misjonarzy. Wraca do rodziny, która traktuje go jak heretyka i opętanego.

1909

Ksiądz biskup Orazio Mazzella, przekonany o niewinności księdza Ruotolo, zaprasza go do swojej diecezji. W Rossano Calabro ujawniają się niektóre spośród charyzmatów kapłana, trwale naznaczające jego późniejszą posługę. Rozpoczyna on między innymi kierownictwo duchowe kilku osób, a podczas adoracji Najświętszego Sakramentu otrzymuje dar tzw. lokucji – zapisuje słowa pochodzące od Jezusa i Maryi. Stopniowo kształtuje się jego misja ożywiania pobożności eucharystycznej, uprzedzająca późniejsze ruchy eucharystyczne w Kościele katolickim.

8 VIII 1910

Po zawieszeniu trwającym ponad dwa i pół roku zostaje mu przywrócone prawo odprawiania Mszy Świętej, jednak jego sprawa w Świętym Oficjum (tak po reformie w 1908 roku nazwano dawną Inkwizycję) nie została zamknięta, a on sam wciąż budzi podejrzenia i nieufność.

1911

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

